

Nędza etyki

20 kwietnia 2015

1

Rozmawiałem niedawno z pewnym Sebastianem, którego parę lat temu przygotowywałem do matury. Dziś jest pomocnikiem kucharskim, ostatnio w jednej z warszawskich restauracji, gdzie karmią niewyszukanie i niezbyt drogo, a właściciele zarabiają nie na wysokiej marży, lecz na liczbie klientów. Jadam tam czasem właśnie dlatego, że niedrogo, ale jak mówi Sebastian, z jego perspektywy to nie restauracja, lecz fabryka. Bywają dni, kiedy rozbija po pięćset sznycli, przyprawia dwieście kaczych połówek, obiera ćwierć tony cebuli, a wszystko to w pośpiechu, krzyku, nerwach, że coś natychmiast potrzebne, a jeszcze niegotowe. Pamiętam, że Sebastian już w liceum z wypiekami na twarzy opowiadał o swoim gotowaniu, o przepisach, które wymyślił lub udoskonalił. Marzył o pracy szefa kuchni, o własnej restauracji. Polskiego chyba nie lubił, ale był świetny z biologii, chemii i fizyki, uwielbiał eksperymenty i pracę z żywą materią – czego więcej potrzeba kucharzowi? Na zakończenie roku przyniósł wytrawne babeczki z masą jajeczną i koperkiem. Pycha! Już w liceum Sebastian skłaniał się ku prawicy, dziś jest niemal fanatycznym zwolennikiem Korwin-Mikkego i jest to jeden z powodów, dla których o polityce nie rozmawiamy – po co się kłócić?

Jak dotąd Sebastianowi w żadnym z zakładów nie udało się awansować na samodzielnego kucharza. Opowiadał o wojnach z kolegami-kuchcikami, z którymi rywalizował o awans. O tym, jak jedni drugim dosypywali sól do półproduktów albo chowali narzędzia, o bójkach na zapleczu, o intrygach i donosicielstwie. O tym, jak sam musiał się nauczyć szkodzić kolegom, intrygować, donosić. No i o tym, że ostatnio, nie wiedzieć czemu, pracodawcy domagają się wyższego wykształcenia od kandydatów na kucharzy.

– Panie Sebastianie – zapytałem – ale właściwie dlaczego nie poszedł pan na te studia?

Idiotyczne pytanie, które chyba nie ja pierwszy mu zadałem, a na które odpowiedź jest oczywista. Nie poszedł, bo należy akurat do tej części naszych rodaków, którzy gdy skończą szkołę, muszą na siebie zarabiać. A dziś pracuje od 14 do północy i gdy wraca do domu, może tylko położyć się do łóżka. Jego dziewczyna jest w ciąży i bez pracy, a mieszkają w kawalerce po babci, więc niedługo nawet się nie wyśpi, bo dzieciak będzie ryczał. Nie zacznie i nie skończy tych studiów, i nie zostanie szefem kuchni.

A może zostanie? Podobno jednak są tacy restauratorzy, którzy zwracają uwagę na rzeczywisty talent i umiejętności, a nie na jakieś papiery... Sebastian kilka razy podczas naszej rozmowy zmieniał ton: najpierw mówił, jak jest, a jest przecież niewesoło, ale zaraz sam siebie za to beształ, jakby gdzieś na karku siedział mu maleńki telewizyjny coach i szeptał do ucha mowy motywacyjne. A więc będzie lepiej! Trzeba tylko wziąć się w garść, wytłumaczyć sobie, że senność i zmęczenie to fanaberie, podszkolić się w intrygach i donosicielstwie, no i oczywiście wciąż próbować od nowa. Bo wszelka słabość to jego wina, a wszelkie niepowodzenie świadczy o jego nieudolności. Do wszystkiego dochodzi się pracą i tylko pracą. A zatem: więcej pracy, mniej narzekań, a w końcu się uda.

2

Jeszcze tego samego dnia, po tej rozmowie, czytałem książkę. „Niespokojni” Aliny Kietrys to dopiero co wydany zbiór sześciu szkiców biograficznych o wybitnych postaciach polskiego XX wieku. Wśród nich tekst o Jacku Kuroni, w którym jego synowa, Joanna, wspomina początki kariery nieżyjącego już męża, sympatycznego telewizyjnego kucharza: „Maciek [Kuroń] szybko się uczył. Świetnie liczył, choć był humanistą. Kiedy został kucharzem? Gdy zaczęła się kampania prezydencka Jacka Kuronia. Wtedy przyjaciel Jacka powiedział, że syn kandydata musi mieć

zawód. Niech robi to, co lubi. I zafundował Maćkowi stypendium w instytucie kulinarnym niedaleko Nowego Jorku. Po tej szkole Maciek stał się profesjonalistą. Założyliśmy firmę, robiliśmy warsztaty, programy telewizyjne. Szło jak burza” (s. 217).

No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mnie ta opowieść zdziwiła, bo wydaje mi się, że tak właśnie jest na świecie: jednym świat wciąż stawia opór, drogę porastają im ciernie, a wiatr wieje w oczy; innym zaś „idzie jak burza”. Ale dla mnie te dwie opowieści stały się jakby metaforą polskich dziejów, nie tylko ostatniego ćwierćwiecza, ale może wieku, czy wręcz wieków. Z jednej strony Jacek Kuroń, ikona wielu środowisk polskiej lewicy, człowiek zauważający problem nierówności i wielokrotnie wzywający – także działaniem, choćby w Teremiskach – do zapobiegania mu, projektujący lepszą, bardziej sprawiedliwą Rzeczpospolitą i z lekkością wykorzystujący swoją uprzywilejowaną pozycję polityczną oraz towarzyską dla własnych i rodzinnych celów. Z drugiej strony człowiek zdolny i zmotywowany, ale stłamszony przez warunki życiowe, rynkowe oraz przez swoje pochodzenie, a jednak zwolennik rynkowej dżungli.

Można by oczywiście powiedzieć, że moja niechęć do lekkości, z jaką Maciej Kuroń zdobył swoją zawodową pozycję (a także sam zawód), jest dyktowana czystą zawiścią – tym podlejszą, że przecież bezinteresowną, bo w końcu sam w jego branży nigdy nie działałem i nie zamierzam. I co więcej, ja takich możliwości, jakie on miał, sam nie wykorzystałem pewnie wyłącznie dlatego, że ich nie miałem. Ale niech tam sobie kto mówi, co chce. Mnie idzie jednak o to, że – choć nad tym ubolewam – żyjemy w świecie, w którym zawodowy sukces, a także sama możliwość wykonywania zawodu są towarami deficytowymi i dla wszystkich ich nie starcza. Dlatego uważam, że powinny być w jakiś sposób (choć nie wiem dokładnie, jak to zrobić) dzielone po równo. I właśnie przytoczony przykład wskazuje mi najdobitniej, że nie wolno takich spraw powierzać jednostkowej etyce i poczuciu przyzwoitości jednostek (także i mojemu),

które znajdując się w sytuacji wyboru między interesem własnym i najbliższymi, a nawet głoszonymi przez siebie zasadami równości i sprawiedliwości, zwykle wybierają interes własny. To wydaje mi się zrozumiałe. Bliższa koszula ciała. A już zwycięzcy historycznych zmagania, arystokraci wszelkich systemów, mają szczególną skłonność do nieprzejmowania się drobiazgami – bo ważne jest przecież to, że ich myśli i cele ich działań są wzniosłe. O tych drobiazgach coś więc (co? Prawo, głos ludu?) wciąż powinno im przypominać.

Zwycięzcy w klasowych zmaganiach oprócz bardziej materialnych deficytowych dóbr, zagarniają także te symboliczne, a wśród nich moralną czystość, co nierozzerwalnie wiąże się z moralnym zbrukaniem przegranych. Starszy z panów Kuroniów mógł sobie po przejęciu władzy w ojczyźnie pozwolić na luksus i moralną cnotę niezabiegania o dobra materialne, skoro, kiedy było trzeba, na podorędziu był przyjaciel fundujący stypendium dla syna. Choć oczywiście można mieć wątpliwości, czy przyjęcie przez urzędującego posła tak cennego prezentu było uprawnione – bo czym różni się przyjęcie stypendium dla syna od przyjęcia pliku banknotów na stypendium? My, którzy większość czasu spędzamy zabiegając o mamonę, bo tylko dzięki niej możemy mieć to, co inni mają na wyciągnięcie ręki, my, którzy – inaczej niż dżentelmeni – nie tylko wciąż o pieniądzach rozmawiamy, ale i myślimy, którym organizują one czas, relacje międzyludzkie, wyobraźnię, nieraz wydajemy się przez to wstrętni samym sobie. Młodszy z panów Kuroniów (mam nadzieję, że czytelnik zrozumiał już, że do pana Macieja ani za jego życia, ani po jego śmierci nic więcej nie miałem, niż do innych pań i panów w jego sytuacji, a jest mi on niezbędny jako przykład), jowialny i życzliwy, mógł sobie pozwolić na swoje cnoty, bo na jego drodze do sukcesu nie stało kilkunastu kuchcików, których musiałby intrygą i donosem usunąć z drogi do łaski szefa. Sebastian już od kilku lat awanturuje się z kolegami, jest ofiarą ich prześladowań, i sam daje innym popalić. Chociaż, podobnie jak większość tamtych, nie jest z charakteru ludzkim drapieżnikiem. Takie tam panują zasady, że

musi być – przepraszam, panie Sebastianie, to samo, co o panu piszę i mnie samego dotyczy – świnia, a skoro świnia musi być, to jest i słusznie za świnie uchodzi. Ale o ile wypada każdemu, kto zauważy świństwo Sebastiana, zwrócić na nie uwagę, o tyle nikomu przecież nie wypadałoby rozważać, dlaczego pan Maciej świnia nie jest. To zwycięzcy ustalają moralne zasady, a wśród nich i tę, że podłością jest pytać zwycięzcę, z jakiego punktu startował.

Mnie jednak wydaje się, że pytanie o to, w jaki sposób kto doszedł do swojej społecznej czy zawodowej pozycji jest jak najbardziej uprawnione, a wręcz wskazane. Pytanie o to, kim byli rodzice i w jaki sposób przyczynili się do sukcesu swojego dziecka (lub jego braku), należy wydobyć z mroku plotek i złośliwostek na światło dzienne publicznej debaty po to właśnie, aby rozmowa o kwestii równości i nierówności szans zaczęła dotyczyć konkretów. I aby ukonkretnić wszelki dyskurs polityczny czy etyczny, żeby było wiadomo, kto w jakich warunkach życiowych, społecznych, ekonomicznych czy kulturalnych kształtował swoje poglądy.

Wielokrotnie słyszałem już o tym, że takie stawianie sprawy czyni wielką przykrość ludziom, którzy mając wysoko postawionych rodziców, wciąż muszą się z tego tłumaczyć. I że to bardzo niesprawiedliwe, bo nawet ewidentnie samodzielnie wypracowane sukcesy idą wciąż na konto pozycji rodziców. Oczywiście, to bardzo niesprawiedliwe. Ale każdy niesprawiedliwie odpowiada za to, kim byli jego rodzice: jowialny pan Maciej w taki sposób, że tacy jak ja podle im to wypominają, a Sebastian w ten sposób, że pewnie do końca życia będzie obierać cebulę i klepać sznycle. Nie wiem, czy obaj panowie chcieliby się zamienić. Ale myślę, że dobrze byłoby, gdyby jednak czymś się wymienili: jeden może zauważyłby, że to, iż wszystko przychodzi mu tak lekko nie musi wcale świadczyć o tym, jaki jest on sam, a drugi niech by przynajmniej zauważył, że to, iż wszystko przychodzi mu tak ciężko, nie musi wcale świadczyć o tym, jaki jest on sam.

Sebastian – znów przepraszam, panie Sebastianie – jest korwinistą, a ja się zastanawiam, czy nie jest przypadkiem socjalistą. Bo to właśnie Korwin-Mikke umie coś, co kiedyś potrafili socjaliści: opisać zjawisko, którego i Sebastian, i większość z nas doświadcza zmysłowo: w tym świecie toczy się bezwzględna wojna. Jeśli chcemy coś mieć, choćby to były najprostsze rzeczy, bez których życie jest niemożliwe: w miarę porządna praca, pieniądze pozwalające przeżyć bez poniżenia, mieszkanie, w którym nie leje się na głowę i w którym można się wyspać po pracy mimo ryczącego niemowlaka, musimy to komuś wyrwać albo kogoś przechytrzyć, bo tego jest po prostu za mało dla wszystkich. Musimy być silni, bo tylko silni przetrwają, musimy być bezwzględni, bo każda refleksja nad dobrem innego jest działaniem na własną szkodę. Tak jest świat urządzony (a nie jest?), że silny i wielki nawet nie zauważa, jak słabego i małego wdeptuje w ziemię. Świat to jest wojna, płacz, łzy i mozół (a nie jest?), ale kto wygra – będzie miał wszystko. Na tym polega elementarna sprawiedliwość.

Natomiast dzisiejsza młoda polska lewica ze swoim etycznym przesłaniem całą tę sytuację zakłamuje. Ponieważ duża – i prominentna – część naszych socjalnie nastawionych idealistów nie odczuwa takiego oporu materii, może sobie rozważać o projektach etycznych, eksperymentować z ograniczaniem potrzeb materialnych, nową moralnością erotyczną i zastępowaniem pieniędzy wymianą usług. Może też na wzór lewicowych świętych sprzed stulecia i sprzed ćwierćwiecza widzieć swoje style życia jako zaczyn etycznej przemiany całego kraju. Tyle że i Sebastianowi, i mnie, nic po etycznej przemianie, i myślę, że także nic po niej innym ludziom, którzy żyją na wojnie, gdzie jeśli chcą coś mieć, to muszą to komuś wyrwać. Nie ma sensu mówić do ludzi żyjących w dżungli językiem etycznej powinności i przemiany. Potrzebny jest tu raczej ów język elementarnej sprawiedliwości: jeśli nie chcemy, żeby wszystko przychodziło nam z takim trudem, musimy to komuś wyrwać. A różnica między

nami a korwinistami niechaj polega na tym, że my nie chcemy wyrywać ochłapów innym kuchcikom, ale razem z nimi tym, którym wszystko przychodzi zbyt lekko, nawet jeśli wśród nich są ikony czy dobroczyńcy lewicowych środowisk, których idee są ze wszech miar słuszne, ale którzy właśnie mają na własność coś, bez czego trudno nam żyć. I wolimy rzeczywiste zdobycze, takie jak stabilna godna praca i płaca, pewny dach nad głową, dostęp do lekarza i porządnej szkoły, od wyobrażania sobie siebie w roli milionerów. Do tego wystarczy nam tej podłej etyki, którą mamy, etyki ludzi, którzy nie z własnej woli bywają świniami, a którą to etykę wytworzyły warunki, w jakich żyjemy. A nowa etyka niech się wytworzy w nowych warunkach, jakie sobie wywalczymy.

Autorstwo: Jarosław Górski

Źródło: NowyObywatel.pl